

WIERZĘ W COUNTRY

Rozmowa z Korneliuszem Pacudą



M: Od czego zaczęła się Twoja muzyczna edukacja?

Korneliusz Pacuda: Oczywiście od jazzu! Jednak kiedy jazz zaczął wchodzić na drogę dość niezrozumiałych eksperymentów, moje zainteresowania zwróciły się w stronę rock&rolla. Uwielbiam go do dziś. Fascynowali mnie biali, Elvis Presley i Jerry Lee Lewis, a także czarni wykonawcy, jak Fats Domino, Chuck Berry. Nasz klub urządziliśmy wtedy pod kaplicą mieszczącą się koło kościoła św. Jakuba na Ochocie. Tolerancyjny ksiądz pozwalał nam nie tylko słuchać, ale i tańczyć. Skontaktowałem się z Witkiem Pogranicznym i Markiem Gaszyńskim, wówczas już prowadzącymi audycje w Radiostacji Harcerskiej, z propozycją założenia Klubu Przyjaciół Piosenki. W ten sposób znalazłem się wśród sporej gromadki osób, które łączyła ulubiona muzyka. Każdy przynosił jakąś swoją płytę, zatem krąg poznanych wykonawców poszerzał się z każdym spotkaniem. W tymże klubie pojawili się także ci, którzy nie tylko słuchali muzyki, ale i potrafili na jej temat interesująco opowiadać, również przed mikrofonem. Szybko objawił się talent Piotрка Kaczkowskiego, Marii Szablowskiej, Dariusza Michalskiego, czy Marka Wiernika.

M: A jak trafiłeś do radia?

KP: Po rozmaitych doświadczeniach życiowych i próbach studiowania na kilku uczelniach, ostatecznie skończyłem anglistykę, a moja praca magisterska dotyczyła poezji ludowej w piosenkach amerykańskich. Wówczas Krystyna Kępska za pośrednictwem Marka Pogranicznego zaproponowała mi prowadzenie audycji w radiowej „Trójce”, pod hasłem Radiowa Szkoła Muzyczna.

M: Pamiętam ją. Miałeś szerokie grono „wykładowców”, od Mateusza Świąćckiego, Romana Waschko, poprzez Wojciecha Karolaka, Franciszka Walickiego...

KP: Chciałem w niej poruszyć wiele zagadnień związanych z muzyką rozrywkową. Przeszliśmy od jazzu, poprzez gospel, bluesy, do szeroko reprezentowanej piosenki, od Marka Bernesa z jednej, po Johnny Casha z drugiej strony.

M: I tak się zaczęło country w Twoim życiu?

KP: Chciałem dotrzeć do korzeni rock&rolla, wśród których niebagatelną rolę pełniło country. W ten sposób dotarłem do płyt i taśm z tą muzyką w ambasadzie amerykańskiej, z czasem przekonałem się do niej całkowicie i zdobyłem wcale pokaźną kolekcję płyt. Otrzymałem listy od słuchaczy, którzy na jej temat chcieli więcej wiedzieć, a przede wszystkim mieć możliwość jej nagrywania. Zaczęłem prowadzić w „Trójce” audycję Wszystkie drogi prowadzą do

Nashville. Wkrótce pojawiły się pierwsze polskie piosenki inspirowane tym stylem, wspomnę choćby utwory śpiewane przez Urszulę Sipińską i Krzysztofa Krawczyka, powstała grupa Saloon, grająca wyłącznie country, no i pokazała się płyta Clementine, ze standardami folklu i country, nagrana przez różnych wykonawców w wytwórni Wifon, której byłem wówczas szefem programowym. Na fali tych poczynań, niedługo przed stanem wojennym, doszło do powstania Stowarzyszenia Muzyki Country.

M: A już w 1982 roku odbył się I Piknik Country.

KP: Dostałem taką propozycję nie do odrzucenia od biura Juventuru w Karpaczu. Dla władz był to „wentyl”, dla nas okazja do spotkania się w szerszym gronie zapaleńców. Grono wykonawców wyglądało nieco egzotycznie: debiutant, Jacek Skubikowski, Martyna Jakubowicz, Janusz Laskowski, Country Family, oraz czeska grupa Zelenaci i bluegrassowy zespół węgierski, 100 Folk Celsjus. Przyjechała telewizja, była połowa września, piękna, złota jesień, dokoła stan wojenny, a my walni! Zebrało się ponad tysiąc słuchaczy. W następnym roku postanowiliśmy zmienić miejsce imprezy, bowiem Karpacz miał bardzo siermiężne warunki lokalowe, z łazienką na końcu korytarza, z której pewnie Dolly Parton za nic by nie skorzystała. Wybór padł na mazurskie Mrągowo, gdzie istniał już dobry hotel, a na prośbę telewizji i naszą, Ludowe Wojsko Polskie w trzy miesiące wybudowało amfiteatr, który w niezmiennym stanie trwa do dziś. Proste i twarde ławy, nierówne przejścia między rzędami, chodnik od garderób na estradę bez zadaszenia, bajeczny widok na jezioro i takaż atmosfera, są biletami wizytowymi tego miejsca. Na razie ambitne plany wpuszczenia sceny w jezioro i poprawy infrastruktury amfiteatru, istnieją tylko na papierze.

M: Jesteś, z jedną krótką przerwą, od początku dyrektorem artystycznym pikniku...

KP: ...Czyli swoistym chłopcem do bicia. Staram się prezentować tych, którzy albo mają coś nowego do powiedzenia, choćby przez repertuar, albo zrobili widoczne postępy. Dlatego nie wszyscy są nad jeziorem Czos co roku. Do tego dochodzą specjalne, całonocne koncerty, poświęcone poszczególnym twórcom, bądź też ułożone w cykle i przewijające się przez kilka lat, jak konkursy na piosenkę kierowców, czy „Country Europa”. Prawie od początku mamy gości zza oceanu. Mimo ciągłej mizerii finansowej ich lista jest naprawdę okazała. Tu w sukurs przychodzi zaprzyjaźniony z nami Country Rendezvous Festival w Crappone we Francji, dzięki któremu dzielimy koszty

sprowadzenia gwiazd amerykańskich.

M: Piknik poprzedza spotkanie w Polanicy, „Przepustka do Mrągowo”, oraz spotkania z country w wykonaniu dzieci w Rypinie.

KP: W Polanicy chodzi o danie szansy startującemu, dobrze rokującym zespołom, w Rypinie to dziecięca zabawa która ma uświadomić młodzieży, że taka muzyka istnieje.

M: Tobie pewnie nie wypada tego powiedzieć, ale w zgodnej opinii nie tylko artystów którzy gościli na pikniku, lecz ich menadżerów i obserwatorów z Nashville, w Mrągowie odbywa się najlepszy festiwal country w Europie.

KP: Rzeczywiście tak mówią, składa się na to mrówcza praca rzeszy ludzi związanych z tą imprezą od lat. To bardzo skomplikowane przedsięwzięcie, zwłaszcza w naszych realiach.

M: Na pewno. Jednak to Ciebie uważa się za osobę numer jeden nie tylko w Mrągowie, ale wszędzie, gdzie odbywają się jakieś imprezy związane z tą muzyką. Poza tym to Ty, uparcie i krok po kroku, doprowadziłeś do bliższej znajomości z country tych, którzy mieli na to ochotę. Jak Cię nazwał kiedyś Krzysztof Jaślar, jesteś ojcem, matką i wujem Samem polskiego country. Twoje autorskie audycje radiowe zauważono nawet za oceanem, przynajmniej Ci prestiżową nagrodę Country Music Association dla najlepszego prezentera tej muzyki poza USA...

KP: ...A dosłownie chwilę później pozbawiono mnie audycji w radiowej „Trójce”, nawet nie powiadamiając mnie o tym fakcie! Oczywiście to o czym wspominasz bardzo cieszy, widocznie się do czegoś przysiadają.

M: Dodam, że jesteś autorem znakomitej książeczki popularyzującej country i jej twórców, Drogi do Nashville. Dopiszesz drugą część?

KP: Już się wzruszyłem. Drugą część piszę, ale brakuje wydawcy.

M: Jaki jest krajowy „stan posiadania”?

KP: Mamy w tej chwili około trzydziestu naprawdę niezłych zespołów, z tego dziesięć uprawia granie pół profesjonalne. Do tego grona należy dodać solistów. Wspólny problem polega na repertuarze, niektórzy jego znaczną część proponują niezmienną od dziesięciu lat. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby istniały kluby zainteresowane country. Wówczas zespoły musiałyby mieć ciągle nowe, własne utwory i standardy.

M: Musiałeś już dawno spotykać się z opiniami, że muzyka, którą propagujesz, jest odległą kulturą, że te kapelusze i buty kowbojskie tak się mają do nadwiślańskich realiów, jak malownicze grupki pseudo wyznawców religii hinduskich...

KP: To zupełnie nie tak. Przecież podwaliną



amerykańskiego folku i country stał się folklor europejski, również polski! W poszukiwaniu źródeł przyjeżdżają do nas coraz to nowi specjaliści zza oceanu, znajdując nie tylko dosłowne cytaty muzyczne, ale i całe utwory! A kapelusze i buty być może są dla kogoś egzotyczne, ale my amerykańskiej egzotyki byliśmy zawsze spragnieni. Poza tym polski pop czy rock też korzysta z wzorców amerykańskich. Wreszcie – tango i walc to nie są polskie tańce ludowe, prawda? Według mnie, jeśli jest to sztuczne naśladownictwo, wtedy razi, ale gdy wypływa z serca, trzeba je akceptować. Świat nawzajem korzysta ze swojego dorobku, tendencje w sztuce, a zwłaszcza w muzyce przenikają się nawzajem i my też nie możemy być skansenem.

Jesteś dość często w Nashville, zawarłeś osobiste przyjaźnie i kontakty. Jak znajdujesz w tej chwili muzyczną stolicę USA?

KP: Za sprawy artystyczne i marketingowe, nie tylko resztą w country, wzięli się teraz ludzie pozbawieni doświadczeń muzycznych, traktujący to co robią wyłącznie jako biznes. Według nich wykonawcy, płyty i cała muzyka jest jedynie towarem do sprzedania. Jeśli towar jest niechodliwy, trzeba go zmienić. Gdy klienci częściej kupują muzykę oscylującą na pograniczu pop-country, natychmiast uruchamiają całą maszynę pod tym kątem, z kolei sukces któregoś z nowych tradycjonalistów powoduje lawinę zespołów wracających do korzeni. W tym roku ujawnił się młody człowiek, o głosie podobnym trochę do Randy Trivisa i Johnny Casha, Josh Turner. Jeśli jego debiutancka płyta nadal będzie sprzedawała się tak dobrze jak dotychczas, takich Turnerów pojawi się dziesięć, każdy z innej wytwórni. Mimo naporu młodych, super gwiazdami są otrząskani w bojach artyści: Allan Jackson, Tim McGraw, Reba McEntire, ale na najwyższym podium ciągle plasuje się Shania Twain, bardzo inteligentnie godząca country i pop.

Country dawno już przestało być specjalnością wyłącznie amerykańską...

KP: Lubiane jest na całym świecie, grane prawie wszędzie, łącznie z Japonią. Bardzo dużo grup powstało w Kanadzie, Irlandii, Wielkiej Brytanii, trochę mniej w Skandynawii i Niemczech, choć prawdziwym zagłębiem są Czechy, gdzie działa przeszło siedemset zespołów! Nawet w tradycyjnie antyamerykańskiej Francji istnieje popularna odmiana country, cajun. Są też bardzo ciekawe zespoły rosyjskie i pochodzące z krajów byłego Związku Radzieckiego.

Czesi zawsze mieli większą od naszej tradycję śpiewania turystycznego.

KP: Właśnie od tego śpiewania przy ognisku się zaczyna. U nas, jeśli uchodzisz za artystę, nie zaśpiewasz piosenki biesiadnej, bo to już dishonor. Za to zrobiliśmy sobie tysiąc sztucznych podziałów. Osobno jest piosenka aktorska, turystyczna, studencka, morska, literacka, kabaletowa, dziecięca, harcerska, country, blues i pozycja śpiewana. Bzdural! Przedstawicielom każdej z nich trudno się przebić osobno, ale za nic nie wzniosą się ponad te kordony. A przecież gdyby we Wrocławiu zrobić program z piosen-

kami wielkiego poety, którym niewątpliwie jest Willie Nelson, dopuszczono by tam mnóstwo świeżego powietrza.

Porozmawiajmy o dzisiejszych, polskich wykonawcach country. Kto z młodych zasługuje na specjalne wyróżnienie?

KP: Z debiutantów z pewnością Marysia Gorajska. Ma wszystkie niezbędne przymioty: wdzięk, młodość, głos i coś, co nazwałbym delikatną, nieśmiałą charyzmą.

A spośród znanych z Mrągowa twarzy?

KP: Tu na pierwszym miejscu postawiłbym Alę Boncol. Ona naprawdę potrafi śpiewać, tańczyć, zrobić doskonały show, pokazać sto twarzy. Do tego bardzo pracowita i ma wielką łatwość nauki języków. Niedawno zjawiała się na Litwie na festiwalu i cały tekst zapowiedzi wygłosiła po litewsku, co kompletnie zamurowało widzów. Identycznie było w Norwegii. Podchodzili do niej różni dziennikarze, usiłowali zagadać w swoich językach, ale z oczywistych powodów Ala mogła się już tylko uśmiechać i odpowiadać po angielsku. Nie ulega wątpliwości, że to dziewczyna czekająca na swego europejskiego, czy wręcz światowego odkrywcę. Mamy też kilka profesjonalnych zespołów, które nie odbiegają wcale od grup amerykańskich, choćby Honky Tonk Brothers.

Nie uciekniemy od najtrudniejszego pytania: dlaczego wszelkie media w Polsce odżegnują się od country?

KP: No właśnie! Niektórzy mówią, że to pewnie ja jestem winien, skoro od początku przedstawiam tę muzykę jako odwołującą się do ludowych korzeni, a zatem do gleby, do buraków. Owszem, to muzyka amerykańskiej prowincji, w znakomitej części skomercjalizowana, ale wspinała! Stanowi ważny element współczesnej muzyki rozrywkowej. Niektóre jej przeboje są nagrywane przez wszystkie stawy, uprawiające różne style. Choćby *I Can't Stop Loving You*, czy *Crazy*. Mam swoją teorię, która tłumaczy, dlaczego tak mało pisze się w prasie o Mrągowie. Bo tu się nie sprzedaje narkotyków, nie ma rynku na używki. Tutaj zawsze była doskonała atmosfera, otwarci ludzie, którzy co najwyżej opijają się piwem. Czołowe gazety przypomniały sobie o nas kilka lat temu, kiedy to w centrum miasta, w nocy, w bójce, zginął młody człowiek. Tragedia nie miała najmniejszego związku z piknikiem, ale poszła w Polskę wiadomość, że wszystko wydarzyło się na tej imprezie.

A czym wytłumaczysz „ciszę radiowo – telewizyjną”?

KP: Moim zdaniem radio publiczne i telewizja w Polsce idzie niewłaściwą drogą. Zamiast podlizywać się odbiorcom, do czego przecież stworzone są stacje komercyjne, winno pokazywać zjawiska w muzyce najciekawsze, kształtujące wrażliwość widza. Taka kiedyś była „Trójka”. Teraz wszystko kształtuje współczynnik „oglądalności” i „stuchalności”, sprowadzono więc programy, nie tylko muzyczne, do poziomu akceptowanego przez młodszych nastolatków. Im wystarczy prymitywna papka. W country roi się od pięknych głosów i świetnych instrumental-

stów, ciekawych, melodyjnych piosenek, a to już dla redaktorów radia i telewizji zbyt niebezpieczny materiał. Gdybym nie miał racji, do Ali Boncol ustawiłaby się kolejka zapraszających ją na nagrania. Na to wszystko jest sposób. W gospodarce rynkowej tam, gdzie jest nisza, na przykład w radiu, natychmiast pojawia się stacja która ją wypełnia. Kto pierwszy ją u nas wypetnia, nie będzie tej decyzji żałował.

Co uważasz za największą bolączkę naszych countrowców?

KP: Z pewnością brak dostępu do mediów, ich anonimowość w gronie wykonawców muzyki rozrywkowej. To rodzi frustrację i zniechęcenie, które widać choćby w braku nowego repertuaru. Zespoły są skazane prawie wyłącznie na własne teksty i muzykę, co nie zawsze owocuje udanymi piosenkami. Chcąc przyjść im z pomocą, wymyśliłbym konkurs na piosenki drogi. Kilkuletnie edycje przyniosły trochę ciekawych piosenek, ale przecież przyszłoby wyglądać inaczej, gdyby znalazły się pieniądze na nagrody dla twórców.

Głosisz koncepcję powstania miasteczka Mrongoville...

KP: Chodzi o tematyczny park rozrywki związany z mitem amerykańskiego Zachodu, takie miasteczko westernowe dla całej rodziny. Każdy musiałby znaleźć w nim rozrywki dla siebie na tyle atrakcyjne, by się nie nudzić przez cały dzień. Te przenosiny w kraj bajki powinny zawierać konkretne elementy: wypożyczalnię strojów z XIX wieku, fotografa, kowala, popisy kaskaderów, saloon, no i oczywiście muzykę country. To nie byłby Disneyland, bo nie stać nas na podobne technologie, ale z pewnością pierwszy taki park z prawdziwego zdarzenia w Polsce. Dla Mrągowa rodzi się w ten sposób szansa znacznego przedłużenia sezonu, a dla zespołów fantastyczne miejsce grania i spotkań z fanami. Nawiasem mówiąc, to właśnie piknik wypromował Mrągowo i przyciągnął inne imprezy, jak Festiwal Kultury Kresowej, kabarety i nikt już nie myli go z Morągiem.

Zdaje się, że masz wobec Mrongoville daleką idącą plany...

KP: Marzeniomu nigdy dość. Aż się prosi, żeby wokół pikniku i tego miasteczka urosło countrowe radio, a także skromne studio telewizyjne. W planach Mrongoville jest też drukarnia w starym stylu, na linotypach, taka z okresu Marka Twaina. „Mrongoville Gazette” przynosiłaby wiadomości o polskich i amerykańskich muzykach, drukowała piosenki. Miejscowy sklepik sprzedawałby też płyty, również własne, z nagraniami tych, co w nim występują.

Czy plany mają szansę realizacji?

KP: Tak, ponieważ Mrągowo otrzymało środki unijne i chce je przeznaczyć właśnie na ten cel!

Czego Ci, Korku, życzyć, dziękując za rozmowę?

KP: Tego, żeby Mrongoville nie było mego imienia.

?

KP: Żebym dożył jego otwarcia w wymarzonej skali!

Rozmawiał Andrzej Lajborek